

1931

Rok VII.

Wrzesień—Październik—Listopad

Nr. 4.

# MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego  
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach  
Nauczycielskich w Białymstoku

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.  
Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

## TREŚĆ NUMERU:

- |                                       |                                       |
|---------------------------------------|---------------------------------------|
| 1. Sonet                              | Antoni J. Brukasz                     |
| 2. Już idą pierwsze dni jesieni       | J. D. III m.                          |
| 3. Nasze wrażenie z wycieczki do Tatr | Kurs V męski.                         |
| 4. Przebudzenie (kartka z notatnika)  | J. B. II ż.                           |
| 5. Spotkanie (z wycieczki)            | Emil Radziszewski.                    |
| 6. O pieśni                           | B. Mikołajewska IV ż.                 |
| 7. Wspomnienie z wycieczki do Wilna   | J. K. IV m.                           |
| 8. „                                  | I. Kossakowska IV ż.                  |
| 9. Ostatnie ognisko obozowe.          | „Głodomór” z zastępu<br>„Głodomorów”) |
| 10. Z życia drużyn harcerskich        | Irka Kossakowska.                     |
| 11. Krótkie wspomnienie               | P. Fedoren k. V m.                    |
| 12. Melancholia (parodia)             | Antoni J. Brukasz.                    |
| 13. „                                 | „                                     |
| 14. Krawat                            | Br. R-ki, III k.                      |
| 15. Wycinek z kroniki kursu IV m.     | Br. Rogalski.                         |
| 16. Kronika                           | —                                     |

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, No tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **M. Czułajewska.**

Redaktor: **P. Popławski.**

Wiceredaktor: **St. Redżkówna.**

# MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

A. J. Brukasz.

## Sonet.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę.  
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,  
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto  
W rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe...  
Tetmajer.

Sonet jest formą poetycką najbardziej rozpowszechnioną w całej literaturze świata cywilizowanego, formą, która po szeregu wieków swego istnienia nic nie straciła ze swojej wartości i aktualności, przeciwnie, przechodząc wszystkie kierunki literackie, pozostała prawie niezmienioną, nic nie straciła ze swojej oryginalności, a nawet udoskonaliła się, pozostawiając w historii literatury najdrogocenniejsze perły myśli i uczuć poetów tem droższe, że w tak małą i misterną formę zawarte.

Sonet był i jest uprawiany niemal przez wszystkich poetów całego świata. Jest coś w tej formie, co pociąga i przykuwa i każe myśli układać w złocistą mozaikę rymów, coś co każe uczucie dzielić na dwie części i zamykać je w dwóch odłamach skarbnicy słowa.

Formę sonetu przekładało wielu poetów nad inne, nawet bardziej kunsztowne — i wielu z nich właśnie w sonecie podnosiło jego wyższość.

Niektórzy nawet narzekali na sonet . . . w sonecie — ale właśnie w sonecie, a nie innym utworze. Nas tu obchodzi jedynie sonet polski — o nim też będzie mowa.

Co do określenia formy sonetu — jest to zwrotka równowierszowa, licząca 14 wierszy. zbudowana z dwóch części.

Część pierwsza składa się z 2 zwrotek czterowierszowych, mających zasadniczo 2 rymy wspólne, w każdym



czterowierszu obejmowane — co dałoby się ująć we wzór literowy: *abba*, gdzie wiersz 1 rymuje z wierszem 4; wiersz 2 z 3.

Część druga składa się z 6 wierszy rozłożonych na dwie partje po 3 wiersze każda; czasami tworzy całość z 6 wierszy.

Rymy są rozłożone różnie i jest ich zasadniczo dwa.

Kolejność wierszy sonetu jest następująca: część pierwsza, ośmiowierszowa (2 czterowiersze), po niej następuje część druga, sześciowierszowa (2 trójwiersze); przytem całość czterowierszowa następuje po sobie w pewnych odstępach. Ogólny wzór sonetu da się wyrazić następującym wzorem (rymy):

a  
b  
b  
a  
a  
b  
b  
a  
a  
b  
a  
a  
b  
a

Sonet wchodzi w skład poezji lirycznej — a więc stąd łatwo odgadujemy już charakter tej formy. Więc przedewszystkiem — sonet jest przeznaczony na wyrażenie uczuć przeważnie w formie symbolu. Najczęstszy rodzaj sonetów — to sonety refleksyjne. prócz tego są sonety opisowe albo abstrakcyjne.

Zwykle część pierwsza sonetu podaje nam opis prze-pojoyony nastawieniem poety, przyczynę, — część druga, to refleksje poety spowodowane treścią części pierwszej, przeprowadzenie, wynik.

W wiekowym rozwoju sonet przedstawia się bardzo ciekawie.

Wprowadzony przez Kochanowskiego (2 połowa w XVI, w Włoch), z biegiem wieków rozwija się nieustannie, dochodząc do doskonałości.

Pierwszym sonetem jest fraszka 92 z I tomu wydania jubileuszowego. Składa się ona z 14 wierszy, ale rymy są rozłożone inaczej niż w sonecie. Całość składa się z 5 części: 3 czterowierszowych i 2 jednowierszowych. Inna fraszka jest już bardziej zbliżona do sonetu; 2 człony czterowierszowe mają rymy jednakowe (*abba*); a część 6 wierszowa dzieli się na 2 grupy. Prawdziwym sonetem jest fraszka 102 tomu II, gdzie czterowiersze mają rymy jednakowe (*abba*) a w sześciowierszu są też tylko 2 rymy: *cd cd cc*.

Po Kochanowskim pisze sonety Szarzyński z małą zmianą wymów w sześciowierszu: *cd cd cc*.

Morsztyn rymów nie zmienia i pisze w wierszach jedenastozgłoskowych, jak poprzednicy. Wespazjan Kochowski nazwy sonetu używa w sześciowierszu pieśni.

Wiek XVIII nie przyniósł nic nowego. Sonet został niezmienny — jedenastozgłoskowy, o 2 rymach wprowadzonych przez Grabowieckiego. Przez cały wiek ten nikt nie pisał sonetów, a niektórzy nie wiedzieli, co to jest sonet, używając jednak tej nazwy (Minasowicz).

Formę sonetu używa dopiero Mickiewicz i Słowacki.

Wiek XIX daje nam już potężny rozrost sonetu.

Mickiewicz wprowadza do niego swój ulubiony 13-zgłoskowiec [dzielony średniówką na dwie części; siedmio — i sześć-zgłoskowe (7 + 6)]<sup>\*)</sup>. Wszystkie sonety Mickiewicza są napisane w tym rytmie i mają oprócz dwóch jednakowy układ rymów części pierwszej (*abba*); część druga przedstawia wszystkie możliwe kombinacje.

Dwa sonety są tylko odmienne: „Cisza morska” i „Burza” te mają rymy: *abba, cddc, efg, efg* (część druga ma 3 rymy).

Oprócz tych inny jest sonet „Widok gór ze stepów Kozłowa” utrzymany cały w formie dialogu i z zakończeniem, po wierszu 14 — „To Czatyrdah! Aa!!” Podobnie, w formie dialogu napisany, jest sonet: „Droga nad przepaścią w Czufut-Kale” [Mirza i Pielgrzym].

Słowacki zachowuje tradycyjny porządek rymów w części pierwszej, w drugiej zmienia dowolnie.

Po Słowackim piszą sonety: Goszczyński Sew. w rytmie 11 i 8 zgłoskowym i Konopnicka.

Przesmycki (Miriam) w roku 1898 pisze sonet zbudowany z pięciozgłoskowców:

„Echo piosenki  
Ze strun mej liry,  
Jak wonne myrry,  
Mgłą wstają dźwięki”...

Lange napisał kunsztowny sonet 3 zgłoskowy, a Janowski daje jednozgłoskowy:

<sup>\*)</sup> Szczegółowe określenie średniówki i wierszy męskich i żeńskich, czytelnicy znajdą w działach Wójcickiego — Stylistyka, Rytmika, Poetyka i innych



Hej! gdzie kres	Pełni żądz —	W bój!	Drwij
Wichrów — burz?	Blaski słońc —	Z czuć!	Z burz,
Wonie róż	Poprzez mgły,	Rzuć	Rwij
Z krwi i łez?	Gromy skry	Zdrój	Z zórz,
W ogniu zórz	Idziem drząc	Skuj	Żyj,
W zorzy dusz	W jutra sny.	Chuć!	Twórz.
Mroku bies	„Sonata”	Budź!	„Pobudka”
	Lange.	Stój:	Jaakowski

Naszych poetów w skracaniu sonetów wyścignął tylko jeden, Francuz, Juliusz de Reseguir, który już w roku 1830 stworzył sonet z jednozłogowców.

Tetmajer lubi kunsztowną formę sonetu i pisze o niej w sonecie:

„Lubię sonetu trudną, misterną budowę...”

U Jana Kasprowicza sonet budową odbiega daleko od poprzednich.

Znamiennym jest jeden z sonetów, ośmizłogowiec (3+5), w którym wiersz 8 i 14 mają rozmiar trzynastozłogowca. Kasprowicz wprowadza też do sonetu nowe gatunki wierszy w równorytmicznych zwrotkach.

Jest nim 15 złogowiec męski, tym wierszem jest napisany jeden sonet.

Dla przykładu tej rytmiki podaję jeden wiersz z „Bóg się rodzi:”

„Bóg się rodzi! // Moc truchleje, // co wołała // „zab za zab”  
4 + 4 + 4 + 3' = 15!

Z sonetów Kasprowicza wyróżnia się jeden o niezwykłym doborze rymów, jest nim monolog Sity — „Sita”. Są w nim tylko 2 rymy męskie w rytmie 5+5; nadto w wierszu 1, 4, 5 i 8 powtarzają się te same wyrażenia, z których pierwsze są jeszcze powtarzane w wierszu 11, a drugie w 14. Schemat rymów sonetu „Sity” jest następujący: abba, baab, ababab.

Tadeusz Miciński naogół wylamywał się z form tradycyjnych: ani jeden z jego sonetów nie ma wymów tak dobranych, jak tego forma ta wymaga; drugi czterowiersz ma zawsze rymy własne, niezależne od pierwszego.

Gustaw Daniłowski formy sonetu nie zmienia, tylko narzeka na nią, odzywając się w sonecie:

„Niechętnie w twojej formie kwiat swych myśli mieszczę...”

Władysław Orkan pisze sonet z wierszy trzynastozłogowych ciekawego typu 5+3'+5, zaczynający się od słów:

„Onego czasu // przyszedł Mistrz // z górnej krainy”...  
5 + 3' + 5 = 13.

Henryk Zbierzchowski umieszcza w Chimerze (Warszawskie pismo poetyckie) sonet zasługujący na uwagę, p.t. „Kamienny bóg”. W sonecie tym rażą wiersze 13 i 14 o zmęczonym rytmie 8+6—gdy większość jest napisana w rytmie 7+7 i wyraźnie zaznacza się wiersz 2 w rytmie trzynastozłogowym:

„W komicznej, ciemnej grocie, z boleści skamieniały,  
Przeżywam dni ostatnie mojego żywota...”

(7+7)=14 (7+6)=13!

„Oto / wraca / w triumfie // jasny, / zadumany  
Zwiastun / łak kwietnych / zmarłych // wstały / w wonną /  
[ciszę;

Oto / znów wokół / żywy, // służeczny / hymn ów / słyszę,  
W górze / łka coś / radośnie, // jak ciche / organy...”

Sonet Wacława Wolskiego — „Ikar astralny” składa się z wierszy 6-częstkowych, naśladowujących heksametry (wiersze żeńskie—każda częśćka ma odpowiedni akcent).

„W cz'arnej kami'ennej m'asce, w łu'sce z zielo'nego zi'ota  
Wpe'łzam spi'ący po g'z'ymach cz'arnej sfink'sowej kat'edry  
Na je'dną z wie'ż potw'ornych, co ś'nią jak pot'ężne c'edry,  
Jak do m'agów—gwi'azd śl'epa, cz'arna, kami'enna tęskn'ota...”

Uw.: Przecinki nad złogami oznaczają akcent; należy czytać, akcentując odpowiednie złogiki, przez co uplastycznia się sześciocząstkową budową heksametru.

Podobną rytmikę odznacza się sonet Marjana Zborowskiego — „Poeta”, z tą tylko różnicą, że oprócz żeńskich są wiersze męskie.

Chcąc dać materiał do ćwiczeń nad polskim heksametrem (zaznaczam, że bardzo ciekawych) i ze względu na oryginalność i ciekawy temat, przytaczam go w całości:

W chwili, gdy siebie samego objąć chciał geniusz natury,  
Ciebie zrodził, poeto! Od niego wywodzisz twój ród.  
W sercu swem zemknął żywioły, twej myśli potężny dał rzut,  
Więszym cię czyniąc włodyką, niż ci, których zdobia  
[purpury.



Wiecznie ten sam, choć odmienny, jak obłok rzucony  
[w lazury,

Błędne ścigasz gwiazdźce, choć wiesz, że daremny to trud;  
Znów niby leśne źródłiska napój rzeźwiący i chłód  
Wiecznym dajesz wędrowcom, co znają przepaście i góry.

W głąb, jako morze, bogatą—we własną duszę wpatrzony,  
Jesteś nurkiem i tonią—taki już cudny twój los.

Połów swój ludziom oddajesz, nie bacząc, co z nim uczynią;  
W złoto li perłę oprawia, porzuca li skarb nieceniony—  
Wielki bogacz! ty wiesz, że zawsze jest pełen twój trzos,  
Wiesz, że rozrzutne twe serce jest Boga jedyną świątynią.  
 („Poeta”).

Inny jego sonet „O zachodzie słońca” ma dwa rodzaje wierszy: 4'+6 i 6'+7:

„Odplywa słońca łódź // na miękkiej fali chmur, (6'+6')  
Z wilgotnej ziemi ust // błękitne płyną wonie; (6'+7)

Jan Lemański w najnowszym zbiorze sonetów „W kraju słońca” nieraz nie zachowuje średniówki, ale przytem dba o prawidłowe rozłożenie akcentów. W sonecie V rozpoczyna zawsze drugi człon wiersza. 9 zgłoskowego (4+5) od zgłoski akcentowanej:

„Gdzie mirt zimą kwiat swój odchyła,  
( Gdzie się jedwa—biście dzień przedzie...”

Staff napisał „Sonet szalony” treścią niezbyt zgodną z formą sonetu—jak nam już wiadomo—misterną i obmyśloną. Antoni Słonimski formy nie zmienia, pisze w wierszach jednostajnych, w rytmie 13, lub 10 zgł.; 2 rymy powtarzają się w całym utworze. Z ciekawszych jego sonetów jest sonet o sonecie:

„Słowa wolno płynące, które się kojarzą,  
Tworzą cztery w sonecie początkowo wiersze.  
Uwerturą są cicha, zanim fale szersze  
Nie wypłyną pod rymu baczna. mocną strażą.

Gdy w następnej już zwrotce obraz jasną twarzą  
Błyska, strojny w kolory, w akcenty najszczersze  
Wraz ostatnie, w sonecie najważniejsze wiersze  
Antytezą wytworną, wdzięczny obraz darzą...”

Jest to dostateczne określenie sonetu—zaznaczające jego charakter. Powyższe przykłady dają nam pewne wyobrażenie o rozwoju sonetu. Sonet doskonali się, poczynając od nieudolnych form.

Poprzez wiek XVII (drobne zmiany) i XVIII (martwy punkt) dochodzi do silnego zainteresowania w w. XIX. Zaczyna Mickiewicz, za nim cała plejada różnych poetów pracuje nad udoskonaleniem sonetu. Okres „Młodej Polski” odbija się i na sonecie. Z jednostajnych 13-zgł. zmienia się na rytm inny—bardziej żywy lub wolny. Okres ten odznacza się intensywnością w rozkwitaniu odmian sonetu; teraz mamy cały szereg sonetów, w różnych rytmach i kunsztownie przeplatanych rymach. Młode pokolenie zmieniło nieco formę sonetu, udoskonało, przystosowało do teraźniejszych potrzeb i przejawów życia, ale sonet został sonetem i takim zostanie na zawsze. I zawsze będą poeci: „w obcą formę zakuć swoje cierpienia...” (Słonimski, „Sonet o sonecie”), myśli, marzenia i zachwyty.

Przy opracowywaniu niniejszego artykułu posługiwałem się: Wójcickim, Łosiem, Galewskim, antologjami, tomikami sonetów i utworami zebranymi”.

Białystok, dn. 26.X-1931 r.

A. J. B.

## Już idą pierwsze dni jesieni...

Już idą pierwsze dni jesieni,  
Cisza zasiada w polach, gajach  
I głóg się wszędy już czerwieni  
Przy starych krzyżach na rozstajach.

Słońce przestaje już grzać silnie  
I świat się cały wkrótce zmieni,  
Więc czas do pracy wziąć się pilnie.  
Już idą pierwsze dni jesieni...

Gromada ptaków wdał odlata,  
A nam tak bardzo żal przestrzeni,  
A tak nam jeszcze żal jest lata—  
Już idą pierwsze dni jesieni...

Już idą pierwsze dni jesieni,  
A my za niemi krok za krokiem  
Weseli! silni! opaleni  
Stajem przed nowym, szkolnym rokiem!

J. D. III m.



## Nasze wrażenia z wycieczki do Tatr.

Dzień był pogodny i ciepły! Wiatr lekko kołysał trawę, łany zbóż, leciał nad polami zieleni, poukładanej w przeróżne wzory z tysiąca barw, igrał z gałązkami wierzb i sosen. Wychyliłem się z okna i przypatrywałem się krajobrazowi krakowskich pól i lasów. Gdzie niegdzie ukazywały się domki czerwone w cieniu rozłożystych sadów. Wszystko razem sprawiało wrażenie mozaiki, posuwającej się jak w kalejdoskopie. Stojąc przy okienku, mimowoli spojrzałem na p. Machaya. Na twarzy jego malowało się wielkie zadowolenie. Z zadumy zbudziła mnie uwaga p. Profesora: „Patrzcie, chłopcy, to jest Kałwarja-Zabrzydowska!” Oczom naszym ukazał się piękny widok: maleńki kościółek na górze zieloności, zdołu wyglądającej jak wysepki na oceanie pól... Posypało się moc uwag i wykrzykników; nawet Heniek, który dotychczas drzemał, zdecydował, „że to śliczna miejscowość!”

Jedziemy! Pociąg leniwie się posuwa, dyszy, sapie waląc kłębami dymu.

Jesteśmy w pięknym wgłębieniu. Z obu stron otaczają nas czręwa, tworząc piękny tunel. W przedziale robi się mroczno. Rozmowom i śmiechom naszym towarzyszy ciągły, monotony turkot „no i gdzie jesz-cze, no i gdzie jesz-cze, no i gdzie jesz...czel!” Okolice stają się więcej urozmaiconą, poszarpaną i górzystą; pagórków cora więcej, wznoszą się, i opadają; w dolinach zboże lekko faluje. My zaś, posuwając się nakształt węża sunącego wdał, od czasu do czasu widzimy całe szmaty pól, zdala rysujących się dość równą powierzchnią, poczem krajobraz znowu ginie przywalony wysoką ścianą warstwicy. Co chwila wylania się nowy widok, który ledwie się ukaże, znika znowu z oczu, pozostawiając chwilowy obraz w pamięci.

Jedziemy weseli, uradowani. Niektórzy opowiadają sobie zabawne „kawały”, częstując się nawzajem cukierkami, co chwilą wybuchają salwy śmiechu, to znów jakaś piosenka zadźwięczy... Tylko ciągły turkot maszyny zwalniającej swój bieg „czy, na-le-wo, czy na-pra-wo” oznajmia nam i przypomina, że zbliżamy się do celu. Krajobrazy kładą się wolniej, coraz wolniej—wreszcie stoimy... „Patrzcie, chłopcy, to już Beskid-Zachodni”, woła ku uciesze wszystkich p. Machay „a tam widzicie?—Babia-Góra!”

Całe „bractwo” zaczęło się cisnąć do okien, gdzie kto mógł.

Słysząc nawoływania „kto widział, niech się odsunie!”... Zaciekawienie wzrasta. Przy oknach tłok! Słysząc śpiew „Hej, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cię!” Tymczasem lekko zarysowany Beskid, pokryty pasemkami białego śniegu, złany z chmurkami przesunął się i zniknął z oczu naszych. Ciekawość się potęguje! Ławki puste!

Jesteśmy pod silnem wrażeniem pięknego krajobrazu. Sprawy codzienne zdają się być poza nawiasem naszej świadomości. Wesoły nasz nastrój zostaje zamacony przykrems zdarzeniem: w czasie biegu pociągu wypadło z okna wagonu małe dziecko. Ale wiadomość, że dziecko całe i zdrowe oddane matce, przywraca dobry humor.

Przejechaliśmy stację Skawce. U stóp pociągu Skawina. Ponad zielonością krzaków i drzew słońce ostatnimi blaskami oświeca świat.

Od strony północnej wysuwały się cienie mroku, aby zgasić ostatnie blaski czerwonej tarczy zachodzącego słońca...

Pociąg mknął wśród mroku, przecinając olbrzymie ściany skał poszarpanych, szczeliniastych, porośniętych mchem, gdzie niegdzie krzakami. Dopiero gdy księżyc wypłynął na ciemną toń nieba, zobaczyliśmy jakieś złamy skalne, powyginane w fantastyczne kształty, oświetlone czerwoną, potężną tarczą wschodzącego księżyca. Wszystko miało jakiś niewysłowiony urok pełen tajemniczości, ciszy i zadumy.

Zakopane!

Niewysłowiona moc i tęsknota wżarła się w serce... Tak zatopieni we własnym chaosie myśli i wrażeń postępowaliśmy długim sznurem po ulicach Zakopanego...

Księżyc tylko ciągle zdawał się przyjaźnie uśmiechać, oświecając nieprzebyte zwąły olbrzymich głazów...

*Kurs V męski.*



## Przebudzenie

(kartka z pamiętnika)

### I

Był wieczór... Fletni dźwięk pastuszej  
Płynął na łąk dalekich rosy,  
Szła święta cisza przez niebiosy  
I lśniąca, weszła do mej duszy.  
Wszystkie najmiłsze gry dziecięce  
Nagle mi zbladły i zmały  
I utonęłam słuchem całym  
W tym śnie,—w tej ciszy—w tej piosence...

### II

Był wieczór... Niskie, gorejące  
Pogodnie zachodziło słońce  
I zgasła tarczy swej połowa  
Chowało się za dal liljową,  
Co nad łąkami i nad rzeką  
Roztoczą stała się szeroka.  
Zaczerwienione słońca oko  
Mrużyło się pod chmur powieką,  
A rzes firanki jako strzały...  
Wachlarzem złotym promieniały...

### III

W zachodu krwawej aureoli  
Niby ofiarnych świec lichtarze,  
Wylbrzymiały w chmur pożarze,  
Wyrastał czarny rząd topoli.  
A zaczerwienione zorzą jodły  
Piętrzyły się wysoką ścianą  
I kryjąc w cieniu twarz rumianą,  
Wieczorny zmierzch za sobą wiodły...

### IV

W onej godzinie objawionej  
Ogromnym stał mi świat kościołem  
I jaśniał płomienistym kołem  
I dzwonił w zmartwychwstania dzwony.  
W onej godzinie przedwieczornej,

W onych płomieni zawierusze,  
Zachwytem cicha i pokorna,  
Zrzuciłam zmyśli ciężkich brzemie  
I pokochałam wtedy ziemię  
I otworzyłam młodą duszę...

J. B. II ż.

## Spotkanie. (z wycieczki)

Był to ostatni dzień naszego pobytu w Krakowie, z rzędu czwarty. Przez cały ten czas promienie słoneczne tak nas dobrotliwie ogrzewały, żeśmy je chwilami aż przeklinali. Zresztą nic dziwnego, gdyż, mając poza sobą tyłodniową włóczęgę po przepięknym i starożytnym grodzie, czuliśmy się pomęczeni i wyczerpani ciąglem chodzeniem, patrzeniem, nieustającym gwarem ulicznym i gorącym.

Jak nam pragnienie dokuczało, może świadczyć chociażby fakt, że z jednej wytwórni napojów „wyskokowych” wypiliśmy wszystką wodę sodową. Z przyjemnością też zatrzymywaliśmy się w kościołach, gdzie był upragniony i błogosławiony chłód.

Na dziś przypadał Wawel.

Po półgodzinnym marszu byliśmy na miejscu i odrazu skierowaliśmy się do katedry. Nie byliśmy pierwsi. Opodał przed głównym ołtarzem stała już jakaś grupka ludzi różnej płci i wieku.

Przedewszystkiem zwrócił moją uwagę strój kobiet.

Wszystkie były ubrane jednakowo i skutkiem tego tak podobne do siebie, że trzeba było dobrze się przypatrzeć by móc odróżnić jedną od drugiej. Każda miała na sobie długą, sięgającą aż do ziemi, kolorową w pasy spódnicę, białą bluzkę, białą chustkę na głowie, zawiązaną na „babkę”.

Mężczyźni natomiast wyglądali na dość zamożnych robotników fabrycznych, gdyż ubrania ich były z cienkiego materiału, przeważnie czarnego i jedynie tylko mocne buty z cholewami wskazywały, że to są wieśniacy.

Podszedłem bliżej, by się im lepiej przyjrzeć.

Twarze niewiast delikatne i bielutkie, z orlemi ładnymi noskami wyraźnie odbijały od wysokich i masyśnianych brązowo opalonych mężczyzn, między którym stało też kilku wyrostków, ubranych podobnie.



Zarówno kobiety jak i mężczyźni, a nawet i dzieci byli bardzo poważni i zdawało mi się, że smutni.

Wzrok skupiony i pełen blasku zdradzał silne zainteresowanie, zdawali się pochłaniać wyrazy wychodzące z ust przewodnika (którym był, jak się później dowiedziałem, akademik).

Kto to może być?—zapytywałem siebie. Lecz nie mogłem dłużej nad tem się zastanawiać, gdyż musieliśmy zejść do grobowców, a tam, mając tyle rzeczy godnych widzenia, zapomniałem, o czym przed chwilą myślałem.

Gdyśmy wrócili z podziemi w katedrze prawie nikogo nie było.

I prawdopodobnie byłbym na zawsze zapomniał o tej niezwyklej grupie ludzi, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności, który sprawił żeśmy się spotkali nazajutrz w Wieliczce.

„Patrzcie, ta sama wycieczka, którą widzieliśmy wczoraj na Wawelu”!

Ale skąd? Co to za stroje? Przecie nie łowickie, ani też krakowskie. Te i tym podobne pytania zadawaliśmy sobie wzajemnie. Nagle wpadł wszechwiedzący Tadzio i z miną bardzo poważną rzekł, wskazując oczami na grupę, stojącą w głębi sali: „To są polacy ze Śląska niemieckiego”.

A...a...a... było ogólne zdziwienie. I zaczęła się dyskusja między kolegami na temat Ślązaków.

Ach... więc to nie są ludzie z Polski? I znowu stanęła mi w oczach grupa ludzi z dziwnym smutkiem w oczach i powagą w całej postaci ze skupieniem słuchająca słów przewodnika.

Zacząłem rozumieć ich smutek.

Lecz piękne sale, cudowne ołtarze, długie korytarze, czarne słone jeziora i inne bogactwa Wieliczki pochłonęły z tym razem moją uwagę. Dopiero po kilku godzinach zwiedzania zatrzymaliśmy się w olbrzymiej sali teatralnej i tu, mając chwilę wolnego czasu, a widząc przed sobą smutnych Ślązaków, postanowiliśmy im zrobić niespodziankę i zaśpiewać śląską piosenkę. Chcieliśmy pokazać, że Śląsk nie jest nam obcy i że się nim interesujemy.

Zaśpiewaliśmy „Oj jozioro” na cztery głosy. „Slicznie”, powiadają Ślązacy, „ale to chyba nie po polsku” i zaśpiewali nam swoją. Zaczęły kobiety bardzo miłemi sopranami, potem przyłączyły się i męskie głosy.

Naprawdę ślicznie śpiewali. Zaczęliśmy bić brawo.

Lecz, twarze naszych rodaków z Niemiec nie rozweleliły się, skupili się tylko bliżej i zaczęli nową piosnkę, smutną, jak oni sami, o niedoli ciemniejszego ludu, o próbach wyzwolenia, o walce o każde słowo polskie.

Nastrój był bardzo poważny, czuliśmy cichą skargę braci, ale też czuliśmy swoją bezradność i niemoc. Staliśmy cicho zasmuceni i zasluchani.

W tem zabrzmiała nowa pieśń „Serdeczna Matko”. Zaczęli ją Ślązacy. Kobiety powstawały, mężczyźni popodnosili głowy.

Porwani urokiem chwili przyłączyliśmy się do nich i popłynęła po sali pieśń nasza, pieśń Polaków, pieśń potężna jak dzwon. Gdy ostatnie tony pieśni zamilkły, zrobił się ruch na sali. Kobiety płakały, mężczyźni się rozgadali. Nastąpiło serdeczne zapoznanie. I oto stała się rzecz dziwna: z dwóch wycieczek: jednej ze wschodu, drugiej z zachodu powstała jedna, bliska sobie jak rodzina. „Ta pieśń nas łączy”, wołały Ślązaczki.

„Póki ona istnieje, jesteśmy wszyscy braćmi, Polakami. To jest nasza broń, o którą rozbijają się nieczne plany Niemców”, (ale to już mówiły ciszej i oglądając się). Zapytywani przez nas o stosunek Niemców do Polaków opowiadali smutną prawdę: Niemcy trzymają ich żelazną ręką, wszelkie objawy polskości są prześladowane. Dzieci ich prawie nie umieją po polsku, gdyż nawet w domu rodzice nie mają prawa mówić doń ojczystym językiem, a jeżeli, które z dzieci umie trochę, to trzeba zawdzięczać tylko głębokiemu patriotyzmowi ojca lub matki.

Gdy przed rozejściem zaśpiewaliśmy rotę, jedynie kobiety, jako więcej uczuciowe, nie mogąc się już pohamować, pozrywały chustki z głów i powiewając niemi, a zarazem płacząc, śpiewały, natomiast mężczyźni wcale nie śpiewali, ledwie czapki pozdejmowali, a niektórzy poprostu uciekali w głąb sali, by nie być świadkiem tego, czego z całego serca pragnęli; a dlaczego? Oto dlatego, by nie stracić zarobku, by nie ściągnąć prześladowania na siebie, dzieci, na całą wieś.

Emil Radziszewski.



## O pieśni!

Niech cię piosenka już nie słyszę,  
Gdy dochodzisz z krańca świata,  
Bo przy twoim smętnym tonie  
Do mej duszy coś przylata...

Na me chłodne, białe czoło  
Kładzie smutek zadumania...  
I na sercu niewesoło...  
Hej! te grania i śpiewania!

Lecz dlaczego biegnę w pole,  
Gdy się pełne kłosa chwieją?  
I dlaczego lgną do ludzi,  
Którzy śpiewać wciąż umieją?

I dlaczego takie chwile,  
Gdy piosenki wkoło brzmiały,  
Mam w swem sercu i w pamięci  
I mieć będę żywot cały...

*B. Mikołajewska IV ż.*

## Wspomnienia z wycieczki do Wilna.

W końcu roku szkolnego 1930/31 kurs czwarty męski urządził wycieczkę do Wilna.

Szybko mijają stacje, jakieś samotne domki, całe wsie, pola i lasy.

Naraz rozlega się krzyk: „Jezioro! patrzcie, jakie wielkie jezioro!”

Wszyscy skoczyli hurmem do okien, ale za chwilę wrócili na swoje miejsca, gdyż jezioro skryło się za lasem, jakby nie chciało, aby je widziano.

I znowu spokój zapanował; niektórzy zcicha zanucili piosenkę, inni znów zajadali w najlepsze swoje specjały, a jeszcze inni rozmawiali ze sobą lub z p. Wychowawcą i z p. prof. Muszyńskim. Śpiewać głośno chórem nie mogliśmy, gdyż w wagonie znajdowali się i inni podróżni, którzy sobie tego nie życzyli.

Okolice coraz się zmieniała, a im bliżej Wilna, tem stawała się wynioślejsza i bardziej zadrzewiona.

Ponary.

Oto wielka góra zdaje się nie do przewyciężenia, a w niej ciemny tunel, w który powoli wsuwa się pociąg. Pozamykaliśmy okna i jakaś groza zapanowała w wagonie, wszędzie ciemno tak, że nawet nie widać kolegi siedzącego obok. Trwało to jakieś półtorej minuty i znowu ujrzeliśmy świat Boży, ale o wiele wspanialszy. Po obu stronach toru ciągną się wysokie góry porośnięte drzewami i roślinnością, oraz niskie doliny, w których rozłożyły się małe wioski i niewielkie zagrody wieśniaków.

Nareszcie jesteśmy w Wilnie.

Nad miastem górują wieże kościelne, góra Zamkowa i góra Trzykrzyska, a prawie w środku miasta znajduje się katedra. W Wilnie zwiedziliśmy wiele kościołów, uniwersytet im. Stefana Batorego, stację radiową nadawczą i wiele, wiele innych zabytków. Na szczególną uwagę zasługują: kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu, wspaniale ozdobiony rzeźbami, katedra posiadająca bogaty skarbiec kościelny, oraz kaplica M. Boskiej Ostrobramskiej z cudownym obrazem Najświętszej Panny, z setkami wot, świadczących o doznanych cudach u Jej stóp. Na ulicy przed kaplicą klęczą kobiety, mężczyźni i dzieci, a wszyscy przechodzący tamtędy idą z obnażonymi głowami bez względu na wyznanie.

Wszędzie, gdzie było to możliwem, szkicowaliśmy różne ciekawsze zabytki.

Kilku kolegów wybrało się do kościoła przy Ostrej Bramie, aby coś naszkicować. Ale tu spotkał ich przykry zawód, bo oto przyszedł zakrystjan i oznajmił, że rysować tu nie wolno, chyba za specjalnem pozwoleniem ks. proboszcza. Musieli więc biedacy iść do ks. proboszcza z prośbą o zezwolenie na szkicowanie. Zezwolenie otrzymali i wykonczyli swoje szkice.

Tego, co działo się zwykle w schronisku przed spaniem, nie będę opisywał, bo nie potrafiłbym może tak dokładnie wszystkiego uwydatnić.

Wspomnę jeszcze o naszej wycieczce z Wilna do Zielonych jezior i do Trok.

Do Zielonych jezior jechaliśmy częściowo statkiem Wilją, a częściowo szliśmy piechotą. Gdy się patrzy na te



jeziora, to woda wygląda zupełnie zielona, ale po wzięciu do ręki jest najzwyczajszą wodą bez żadnego zabarwienia. Na jeziorach urządziliśmy przejażdżkę łodziami rybackimi i kąpaliliśmy się. Według opowiadań tamtejszych ludzi w niektórych miejscach głębokość dochodzi do czterdziestu pięciu metrów.

Zwiedziliśmy również słynną Kalwarię, ale dziadów kalwaryjskich nie widzieliśmy.

Pod wieczór wróciliśmy do Wilna.

Nazajutrz udaliśmy się pociągiem do Landwarowa, a potem pieszo do Trok.

W Trokach oglądaliśmy ruiny zamku i kościół. Tu należy wspomnieć o bardzo miłym przyjęciu nas przez koleżanki seminarjum trockiego, oraz o strasznej podróży po jeziorze. W tym czasie była okropna burza, a my chcieliśmy koniecznie dostać się na wyspę, na której znajdują się ruiny zamku. Podróż to była niebezpieczna, bo głębokość jeziora dochodzi aż do czterdziestu ośmiu metrów, to też prawie wszyscy bali się bardzo i siedzieli w łodziach zupełnie spokojnie.

W seminarjum przyjęto nas bardzo serdecznie i gościnnie; urządzono nam krótką zabawę taneczną, prześpiewaliśmy wspólnie i oddzielnie szereg piosenek, wreszcie pożegnaliśmy gościnne koleżanki i wróciliśmy do Landwarowa, aby stąd udać się do Białegostoku.

Wycieczka ta była bardzo przyjemna i chociaż pogoda nie dopisywała, jednak wszyscy byli bardzo zadowoleni i miłe wrażenie pozostanie na długo w naszej pamięci.

J. K. IV m.

\*  
\*  
\*

Jakże miła jest dłoń przyjaciela  
W każdej życia minucie—godzinie...  
W chwilach smutku, radości, wesela  
I choć wiele, wiele lat upłynie  
To uczucie, tak święte w młodości,  
Nie zaginie w pyłe zapomnienia,  
Będzie świecić w szarości istnienia  
I rozpalać iskry żywotności!

Jakże błogo, gdy swych wrażeń brzemie  
Dzielisz szczęście z przyjaciela myślą.  
Staje ci się miłsze ludzkie plemię...  
Jego złości mniej już ciebie cisną.  
W sercu jego masz radości źródło,  
Które krzepi w chwilach ciężkich, czarnych  
I odciąga cię od myśli marnych.  
Bez przyjaźni żyć na świecie trudno!

Trzykroć święte uczucie przyjaźni  
Niechaj będzie nam w życiu ostoją!  
Tem uczuciem będziemy odważni...  
Nasze twarze niech innych zmiewolą  
Do szukania w świecie bratniej duszy.

J. Kossakowska IV ż.

## Ostatnie ognisko obozowe.

Na dużej polanie niezwykle ruch.

Jakieś tajemnicze postacie coś znoszą, układają na kupy, grzebią.

Od strony wsi wysuwają się całe ich szeregi i przyłączają się do gromady.

Twary ich nie widać, bo mrok zapadł, ale pewnie będzie to coś ważnego, bo idą prędko, ruchy mają gorączkowe.

... Ognisko... harcerki...

Cisza. Druchna Oleńka zapala stos chróstu. Błyska płomień, trzaska wesoło, rośnie, drga, bije słupem w niebo, żarem swoim nas ogarnia.

Płynie pieśń: „Płonie ognisko i szumią knieje”, potem wiele innych. „Każda twarz się uniesieniem płoni”, szczególnie tych, które dzisiaj będą przyrękały wierną służbę Bogu i Ojczyźnie. Druchna Hela zaczyna mówić.

Słowa jej ciche, pełne mocy zapadały w dusze nasze głęboko.

Mówiła o bohaterskich czynach naszych poprzedników, o „Cudzie nad Wisłą, „o Orłętach”, a słowa jej były tak serdeczne, tak gorące, że w oczach druchenek pokazały się łzy.

Tymczasem ogień silniejszym płomieniem wznosił się w górę.



Od strony Niemna ustawił się szary szereg harcerek. Dručna Oleńka podchodziła do każdej, kładła rękę na wyciągniętym w stronę ogniska ramieniu i odbierała przyrzeczenie. Buchnęła pieśń ślubowania: „Nas nie złamie życia trud..” Pieśni tej słuchało spokojne niebo, utkane srebrnymi gwiazdami, Niemen, który wiele widział, bory sosnowe, ludzie ze wsi no i my—harcerki.

„Przyjmujemy was, siostry, do naszego koła z otwartymi ramionami, pójdziemy razem uzbrojone w pancerz, bo mnóstwo trudności piętrzy się przed nami, a słabe jesteśmy bardzo, chwiejemy się za lada przeszkodą i prędko opuszczamy ręce, więc połączmy nasze wysiłki i zwalczmy owe przeszkody.

Dziesiąta godzina. Modlitwa.

Kłękamy wszystkie i powtarzamy słowa Modlitwy Pańskiej, potem śpiewamy „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, a na końcu chwila ciszy. Każda z nas skupia rozproszone myśli, przypomina czyny dnia minionego, robi rachunek sumienia.

Ognisko już prawie zgasło... odśpiewałyśmy modlitwę harcerską, prosząc Boga o opiekę, potem hejnał wieczorny... nakoniec padło cichutko hasło „Czuwaj...”

Każda z nas z żarzącego się ogniska wzięła czerwony węgielek, jako symbol jasnych myśli i uczuć, które mają od nas promieniować. Płomień w sercach naszych musi być czysty i gorący, musi przyświecać w drodze, którą kroczymy w czasie służby!

„Głodomór”

(z zastępu „Głodomorów”)

## Z życia drużyn harcerskich.

Dzień 13 września zapisał się w harcerskiej pamięci nadzwyczaj przyjemnie. W dniu tym druchny z naszej Drużyny składały przyrzeczenie. Było ich niewiele, — zato „starych” harcerek i harcerzy „zatrzęsienie”.

Przed uroczystością obie żeńskie drużyny umieściły się w jednej z klas Szkoły Ćwiczeń. Z powodu wielkiego „zagęszczenia” nie mogłyśmy śpiewać, — panował tylko wielki chaos. Jakiego mury ćwiczeniówki nigdy dotąd nie słyszały.

Potem przeniosłyśmy się do auli, gdzie druhowie przygotowali krzesła i stolki, a sami z niezwykle minami oczekiwali, stojąc w dwuszeręgu.

Na „rozwiązanie języków” zaśpiewaliśmy kilka pieśni, a potem była rzecz najprzyjemniejsza: dručna Hela, jako uczestniczka Zlotu Harcerzy Słowiańskich w Pradze Czeskiej, przeniosła nas, choć na krótko, w inne środowisko — a jednak bardzo bliskie umiłowanemu idej harcerskich.

Dowiedzieliśmy się dużo ciekawych rzeczy, przytem dowoli uśmieliśmy się, zawdzięczając to „zdolnościom językowym” (jak mówi Bronka) i dowcipowi Heli.

Gdy przybyła Dručna Komendantka, nastąpiło przyrzeczenie. Stojąc w bratnim kręgu, przeżywałyśmy porażkę, wtórny chwile, gdyśmy sami głosem drżącym wypowiadali najświętsze słowa...

Po przyrzeczeniu i przemówieniach Hela dalej prowadziła nas szlakiem swej podróży.

Wspominając o zwyczajach, panujących na zlotach, opowiedziała o t. z. „czenczowaniu” — wymianie pamiątek.

Zwyczaj ten tak nam się podobał, że w kilku głowach pojawiły się projekty wprowadzenia go w życie u nas w szkole.

Zastanawiając się nad tem, co wpłynęło na miły nastrój, (bo że takiby! wszyscy mogą poświadczyć!) przekonałam się, że się złożyło na to wiele czynników: jak wieczorowa pora, (Pan Dyrektor pozwolił być dłużej!) dowcip Heli i może to, że były wszystkie trzy drużyny w gromadzie.

Myślę, że na drodze współzycia między drużynami należy zrobić więcej niż dotąd było zrobione.

Było nam tak przyjemnie, — dlaczegoż więc dotąd oszczędzaliśmy sobie tych „chwil jasnych”?

W tym roku zrobmy inaczej!

Niech bracia harcerska u nas w szkole wytworzy naprawdę harcerską atmosferę.

Niech hasło nasze rozbrzmiewa radośnie!

„Czuwaj!”

Irka Kossakowska  
V-ta Drużyna Har. Żeńska  
im. kr. Jadwigi.



## Krótkie wspomnienie.

Piątkowy występ na lekcji śpiewu przyniósł mi tak wielką chlubę, że mogłbym się jej rzec jedynie chyba tylko na rzecz swego... najgorszego wroga... Przekonałem się niestety, „żem śpiewak nie dla ludzi” (o czym świadczy, stopień w notesie). Tem boleśniej to odczuwam, iż miałem o sobie zgoła inne mniemanie: wierzyłem, że jestem pierwszorzędnym śpiewakiem i że kiedyś będę olśniewał tłumy. Niestety, ten piątkowy piątkowy występ zniweczył moje marzenia!...

Pocieszam się tylko tem, że słuch mój w przeddzień wspomnianego popisu został znacznie przytępiony mimowolnem „obrażeniem” moich uszu przez kolegę Michasia.

Chcąc uniknąć mającego mnie spotkać „prześladowania” (odpytywania ze śpiewu), poszedłem w piątek, zaraz po pierwszej lekcji do „Dępa” do p. Doktora, z prośbą o piśmienne potwierdzenie kryzysu słuchowego. Pan Doktor postawił mnie przy oknie, włożył mi w ucho jakiś przedmiot, zaś przez drugi krążkowaty przedmiot zaczął lustrować ucho dość długo, szukając w niem tego, czego widocznie tam nie było. Badanie zakończyło się następującą rezolucją p. Doktora: „Nu cóż, oprócz trochę brudu, nic tu więcej nie widzę”. Zaraz na drugiej lekcji (był śpiew) miałem zaszczyt, na żądanie p. Profesorki w obecności całego kursu dosiąść Pegaza i z szalem przejechać się po stopniach gamy g-dur—tam, zpowrotem, w górę, wdół, trójskokami; z najściślejszem przestrzeganiem wszelkich zakazanych możliwości, więc od g do as, od c do fis i t. p. Biedna gama po mojej przejażdżce była podobna do karykatur, jakie widziałem w województwie...

O, prozo życia i wy, anarchiczne, nieuchwytnie, słuchowe żywioły! kiedyż ostatecznie, ujęte przeze mnie w karby, pozwolicie mi zadowolić własną ambicję, a co najważniejsze—p. prof. Kędzierzawską!!!

*P. Fedoren (kurs V).*

## Melancholja...

(Parodja)

Mam gładkie czoło i pobladłe wargi  
I wzrok bezbarwny, głęboki jak nieba,  
I z tem mi dobrze, i więcej nie trzeba,  
I nie mam żadnej do nikogo skargi.

Mam oczy głębokie jak niebo i mgliste  
Mglistością, płytkie jak słowa bez sensu;  
Mam myśli jasne, rozwlekłe i czyste —  
I chowam je w głowie, jak w szafce kredensu.

Kołnierzyk za wielki aż o dwa numery  
I muszka skrzywiona, jak uśmiech nieszczerzy,  
Są dla mnie — jak echa bandyckiej afery,  
Jak groza — nieznanej, pradawnej Chimery.

Cieszę się z tego jak wielkie niemowlę.  
Skrzydłata muszka jest moim uśmiechem,  
Za wielki kołnierzyk — mym radości echem  
I jestem dziki w tym śmiechu jak Mowgli.

Poco mi kolor, kiedy blade lica  
Są echem dawnych, szalonych kolorów...  
Ja teraz pragnę cichego księżycy —  
Jak prąd — czeluści akumulatorów.

Ubranie moje jest, jak moje życie,  
Jak smutne niebo jesiennych zachodów  
— I jak poręcze wyszarganych schodów...  
A ja w niem idę jak . . . jak na zabicie.

Wszystko jest nędzą lecz but najnędzniejszy,  
Zęby mu z gęby wylażą jak szwaniec,  
A jednak wesoły jest ten obszarpaniec  
I z wszystkich moich części najśmieszniejszy...



\*  
\*  
Rozstanie... rozstanie..! w oczach błyszczą łzy...

Tutaj zostało me całe kochanie

I ty,

O szkolo!

Może już nigdy, jak przedtem, wesoło

Do mnie się wiosną nie uśmiechną bzy...

— Rozstanie!!!

Pójdę i pójdę..., pewno już nigdy nie wrócę,

O, Panie...

A gdy się cicho za tobą zasmucę,

Bzy mi powiedzą, — że już zapóźno!

Wracać zapóźno —

I nigdy zawcześnie . . . !

Tak ciężko żegnać . . . tak strasznie boleśnie . . . !!

A wszystko w jednym tylko słowie —

„Żegnaj!”

Białystok, 10.IV-31 r.

A. J. Brukasz.

## Krawat.

Długi, jedwabny pasek tkaniny niedbale rzucony na stół wije się w miękkich pieszczotliwych splotach. Jest to krawat harcerski. Jego brzegi w przeznaczeniu równoległe nie występują tu w ten sposób prawie wcale. Wciąż wygina się jego wydłużona płaszczyzna, załamuje się wzdłuż i wpoprzek lub ukształca się w płynne zakola. Miejscami zatracą się zupełnie szerokość, a widać tylko jeden brzeg lekko ząbiony ukazujący grubość tkaniny. W tem miejscu zaś gdzie się brzegi paska krzyżują powstaje przecięcie płaszczyzny. Po obu stronach przecięcia różne ukazują strony krawata, z których to—prawa jest pozbawiona światła.

Ogólny rozkład taśmy barwowej dałby się podzielić na trzy grupy odcinków: najdłuższy—wykreślony krawędzią zwróconą ku górze a wykazujący się charakterem bardzo lekkiego łuku, skierowanego końcami w głąb obrazu; dwa średnie jako że będące końcami krawata przeto zakończono

ne frendzlą zwróconą końcami do przodu—leżą płasko, jeden na przedłużeniu drugiego, równoległe względem siebie a względem łuku—pod małym kątem nachylone, są w sumie nieco dłuższe od odcinka pierwszego; najkrótsze odcinki utworzone są przez zagięcia rozrzucone grupami, wewnątrz łuku dwa i jeden na stronie zewnętrznej i przez zakręty leżące na obu końcach odcinka najdłuższego.

Wśród splotów bezładnych, grymaśnych, są wolne, puste pola. Zewnątrz leżące mają kształty jakichś ostrych języków, które swe wierzchołki kierują w największe masy taśmy. Jedno wewnętrzne pole wykształcone częścią środkową łuku i końcami zaopatrzeni we frendzle przypomina formę trójkąta rozwartokątnego.

Barwy i formy są owiane lekką tylko przy zmrużonych oczach widzialną mgłą. Głębiej leżące fragmenty są mocniej zatarte a mniej ukazujące szczegółów. Lecz ornamentacja tkaniny występuje zarówno na pierwszym planie jak i na ostatnim. Motywem zaś ornamentu są figury geometryczne, które aczkolwiek wciąż się powtarzają, to jednak tworzą ciekawą, wykończoną miłą całość.

Gdy patrzę na krawat, leżący w cieniu, to zachwycam się jego miękkością barwy i kształtów, puszystością jego frendzli rozplywających się w miękkim, tęczowym puchu. Nic wtedy nie widzę takiego, coby najmniejszą choćby zdradzało ochotę do wybicia się z całości czy barwą, czy wzorem, czy to kształtem. Wszystko tu przybrało spokój niemal stoicki. Lecz w tem właśnie tkwi piękno, jakiego i słońce nie da, choć oto już się skrada.

— Już wysłało nikle promienie i zakłóciło spokój. Bo jego promienie, padłszy na cienkie futerko barwnych, jedwabnych nitczek rozedrgały je. Same zaś jakby spłoszone migotliwym blaskiem poczęły drzeć, rozpalać się i przygaszać na przemiany. Aż gdy nie mogły znieść tego, co same sprawiły—pierzchły nagle.

Krótką chwilą ich nieobecności przyniosła znów spokój i piękno dawne, rozlała po przeważającej—czerwonej barwie krawata.

Lecz, cóżto! Znowu promienie dzikie, rozpędzone, przeciążliwe oku, silniejsze niż poprzednio. I w siłę jeszcze rosną. Już stanęły w największej swej potędze — punkt koluminacyjny już osiągnęły. Ustępować stąd już nawet ani myślą...



A tymczasem na tkaninie wszystko zburzone. Po dawnej miękkości, niemal akwarelowej płynności barw i po tej nastrojowej melancholji—śladu nawet nie pozostało.

Teraz wszystko stoi w iskrach. Barwy oczy rażą swą jaskrawością niemal krzyczą. A tyle ich się nowych naukazywało, że i policzyć niełatwo. A wszystkie stoją oddzielone od siebie, każda w swojej granicy. Wzór teraz gwałtownie rwie się z miejsca, w oczy skacze; od szczegółów aż roi się; przez środek paska tkaniny biegnie jakaś rażąca smuga biała; powierzchnia jest teraz cała w chropach, wystąpiła bowiem w świetle przeplatanka nitek.

Wzrok zmęczony nie mogąc ani ustać na miejscu, ani całości objąć—ślizga się, szuka miejsca na spoczynek. Wnet znajduje miękkie, poszarpane i zwichrzone, cienkie i przewiewne sploty, niby barankowe chmury na wiosennem niebie. Tu przywarł chciwie. Nurzą się w rozkosznym i niewypowiedzianym barwnym puchu. Do duszy śle radość promienną.

Czerwonemi, pomarańczowemi, żółtymi, zielonemi i fioletowemi barwami frendzli krawata harcerskiego napawał długo wzrok nieruchomy, utkwiony i jakby jakąś przykuty mocą czarodziejską...

Aż się wnet słońce znowu schowało za chmury.

*Br. R-ki, III m.*

## Wycinek z kroniki kursu IV m.

Zamiast wstępu.

Nie będę zajmował czytelników kroniką taką, którą sięgała aż początku roku szkolnego, jakkolwiek, gdybym się na nią zdecydował, znalazłbym tematów dużo.

Zresztą w obecnym czasie zachodzi tyle wypadków najrozmaitszych, że kronika będzie dość bogata i będzie co przekazać potomnym.

20-ty wrzesień.

Dziś kurs nasz wystawił na boisko swych najzacieśszych graczy. Uformowały odpowiednie władze dwie grupy: jedną do siatkówki i inną do koszykówki. Popisy za-

częły się od gry w siatkówkę z trzecim kursem. Wynik był taki, że politowanie wzbudzaliśmy w zebranych. Szczególnie p. profesor Rybarczyk docinał na swój sposób.

Lepiej przedstawia się sprawa koszykówki. Odnieśliśmy zwycięstwo nad kursem drugim.

22-gi wrzesień.

Ten fakt, że członkowie naszej gminy prawie wszyscy mają zajęcia w Zarządzie Głównym „Bratniej Pomocy” i są „urzędnikami”—wykazał dziś swą ujemną stronę. Polega ona na tem, że „proletariusze” zbyt często muszą dyżurować w klasie, bo warstwa „wyższa” otoczyła się specjalnymi przywilejami, niby murem chińskim i nie mamy z niej korzyści, ani pomocy. Leczyć już pomruki niezadowolenia „ludu” dają się słyszeć.

23-ci wrzesień.

Niemal wszyscy dziś idziemy na „Wesele” Wyspiańskiego. Z tą sztuką poznamy się gruntowniej zapewne kiedyś w przyszłości. Ale trochę tośmy ją poznali przed owym przedstawieniem, a to przez wykład pani Profesorki i własne czytanie. Szczególnie ciekawymi okazały się stosunki z przed kilkudziesięciu lat w Krakowie, wśród warstw najkulturalniejszych.

To też z ogromną ciekawością, z palającymi oczami patrzyliśmy na scenę z każdego zakątka rozległej sali; tak z rzędów co najprzedniejszych, jako też i galerji, gdzie już się nic nie słyszy i skąd się nic nie widzi, a gdzie właśnie najliczniej się skupił prawdziwy „proletariat”.

Możliwość ujżenia „prawdziwego” poety jak Rydel, lub malarza Wł. Tetmajera tyle w każdym budziło pożądania, że niezem wydały się zbyt głośne rozmowy gdzieś w mrocznych łóżach, mniej przykrą wydała się stanowczo za daleka przestrzeń galerji.

Jednak los tych, którzy znajdowali się na galerji, nie był do pozazdroszczenia, sami oni zeznają, że dla nich to przedstawienie jest stracone, zarówno jak i kwota wydana na bilet.

24-ty wrzesień.

Niektórym „typom” z naszego kursu przyniósł to, co 1-go kwietnia zdarza się jednostkom gapiowatym.

Ponieważ naszą klasę przeniesiono do innej sali, o czem nie wszyscy wiedzieli, więc też nic dziwnego, że wielu zra-



na zastawszy na dawnym miejscu widok, jakby porewolucyjny, błdziło po korytarzu. Szczęściem nie zmieniono miejsca tego, które zajmujemy w czasie modlitwy. Było ono tego poranka tem dla tych zabłąkanych, czem po śmierci dla dusz naszych ma być dolina Józefata.

Ta zmiana naszej „siedziby” na pierwszy rzut oka wydała się niektórym jakby zesłaniem na Sybir, jednak bardzo szybko zmienili oni swoje przekonanie. Jeszcze bowiem w tym samym dniu, gdy poznali własności „wygranki” wszyscy jednogłośnie okrzyknęli swoją dla niej sympatię.

Za ponurość i surowość swego wnętrza płaci „wygnanka” swym mieszkańcom pewnością bezpieczeństwa ze strony władz i innymi przywilejami, z których gdzie indziej korzystać nie byłoby można.

25-ty września.

Dziś lekcjamuzyki rozerwała szare pasmo naszego uczniowskiego życia. Okazało się, iż tylko nasi muzycy byli zdolni zadowolić wymagania p. Profesora, reszta zaś odchodziła od pulpitów ze smętną miną, z ukosa spoglądając w stronę notesu.

Tylko jedno dodatnie wrażenie odnieśliśmy z lekcji dzisiejszej, a mianowicie przekonaliśmy się, że gdy nieszczęście nawiedzi większość, to nie jest ono tak gorzkie dla poszczególnych jednostek.

26-ty września.

Dziś sprawdziło się przysłowie: „Mile złego początku, lecz koniec żaloszny”.

Ktoś „zmajstrował” przy drzwiach klamkę tak sprytnie, że można było drzwi zamknąć, ale, aby je otworzyć, należało użyć jakiegoś fortelu znanego tylko wtajemniczonym. Z tego powodu na każdej przerwie zdarzało się po parę wypadków zamknięcia kogoś w klasie. Należy jeszcze dodać, iż klamka „zniknęła” i wszelkie próby odszukania jej spełzły na niczem.

Ale po lekcjach stanął p. Dyrektor w drzwiach, tym razem otwartych i wystosował burę całemu kursowi. Skutek jej był zbawienny: klamka, bowiem, została odnaleziona zaraz po wyjściu p. Dyrektora.

Br. Rogalski.

## Kronika z życia szkolnego

### WRZESIEŃ.

1.IX. Po wakacjach wszyscy zjechali się wypoczęci, z nową energją zapalem do dalszej pracy.

O godzinie 9 m. 30 udaliśmy się do kościoła na nabożeństwo, aby w imię Boże zacząć rok szkolny.

12.IX Dziś o godzinie 4-ej po poł. odbyło się pierwsze zebranie Zarządu Głównego z następującym porządkiem dziennym:

- 1) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej
- 2) Sprawy bieżące
- 3) Wolne wnioski
- 4) Odczytanie kroniki.

17.IX Odbyła się spowiedź i komunja święta.

22.IX Chodziliśmy do teatru na „Wesele” Wyspiańskiego. Byliśmy rozczarowani, gdyż sztuka była odegrana nie tak, jakby należało.

### PAŹDZIERNIK.

5.X Dziś o godz. 4 ej po poł. odbył się marsz obu drużyn żeńskich (starszej i młodszej), które stawały do Polskiej Odznaki Sportowej.

9.X Dowiedziałyśmy się, że przyjechała pani wizytatorka Zubelewicz. W szkole zapanował ruch nadzwyczajny. Na korytarzach ze wszystkich stron dawały się słyszeć słowa: „teraz do nas przyjdzie p. Wizytatorka”, a na lekcjach nie słuchaliśmy wykładu, gdyż cała uwaga była skierowana na drzwi, czy lada chwila nie otworzą się i czy nie ukaże się w nich p. Wizytatorka i p. Dyrektor. Jak się potem okazało, nie było to nic strasznego, lecz przeciwnie byliśmy bardzo zadowolone i zatrzymywałyśmy Panię w klasie jaknajdłużej.

13.IX Dziś przyjechała p. Borowa i z tego powodu gorączka była większa niż zwykle. Urządzono próbę orkiestry i chóru. Na chórze dostaliśmy pochwałę, że mamy piękne głosy, lecz więcej było nagany za to, że: strasznie przy śpiewie ciągniemy, nie umiemy wytrzymać wartości i nie utrzymujemy się w takcie.



Na zakończenie p. Borowa nauczyła nas pięknego kanonu, który się tak podobał, że przez kilka dni każda z nas wzięcie śpiewała.

31.IX Zostaliśmy zwolnieni na dwa dni, które mają być wypoczynkiem.

Część młodzieży pojechała do domu, a część została w Białymstoku.

## LISTOPAD.

3/XI. O godz. 4-tej byliśmy w teatrze na „Ślubach Pannieńskich”) Fredry.

5/XI. Dziś o godz. 4-tej odbył się pierwszy wykład kursu ogrodniczo-pszczelarskiego, prowadzonego przez p. Gaczorka.

11/XI. Dziś Szkoła uroczystie obchodziła 13-tą rocznicę odzyskania niepodległości Polski. O godz. 9-tej odbyło się uroczyste oddanie czci sztandarowi, poczem hufce wymaszerowały na miasto, aby wziąć udział w defiladzie, reszta zaś młodzieży udała się do kaplicy szkolnej na nabożeństwo.

O godz. 12-tej odbyła się w auli akademja. Na program złożyły się: referat, wygłoszony przez kol. Wydrównę. Potem kol. Drzymulski wygłosił krótkie nawiązanie do referatu, zakończone hasłem: „Po czynu!” Następnie kwartet skrzypcowy i chór.

Na zakończenie, zaśpiewano hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

14/XI. Na ostatniej lekcji zebraliśmy się w auli, aby wysłuchać deklamacji p. Rychtera.

15/XI. O godz. 11-tej odbyło się zebranie rodziców, na którym były omawiane sprawy dotyczące naszych postępów i zachowanie się.





ODBITO  
w  
POLSKICH ZAKŁADACH  
GRAFICZNYCH  
„DZIENNIK BIAŁOSTOCKI”  
LEGJONOWA 1  
w  
BIAŁYMSTOKU.